

<http://dx.doi.org/10.18778/0208-6107.27.04>

Andrzej M. Kaniowski

Instytut Filozofii

Uniwersytet Łódzki

andrzej.kaniowski@uni.lodz.pl

„AKSJOLOGICZNE ZAMIESZANIE”?

Abstrakt

Tekst jest refleksją na temat ustawy lustracyjnej z 2007 roku, która obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego nałożyła na ludzi, których zawody cechują się istotną odpowiedzialnością publiczną. Obowiązek ten nałożony został na profesorów akademickich, jak i na dziennikarzy, czy prawników. Artykuł, który w swej zasadniczej części pisany był w trakcie tych wydarzeń w 2007 roku, jest dokumentem dylematów moralnych zrodzonych przez ustawę lustracyjną. Stawiając ogólne pytanie: "Jak się powinienem zachować?" wobec nałożonego przez państwo obowiązku, autor artykułu analizuje szereg przeciwstawnych argumentów odnoszących się do ważności tego prawa oraz analizuje racje przemawiające za zastosowaniem się do niego, tudzież za jego odrzuceniem w akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Słowa kluczowe

lustracja; państwo prawa; odpowiedzialność; segregacja ideologiczna; nieposłuszeństwo obywatelskie

Artykuł ten jest tekstem „archiwalnym” i do pewnego stopnia „osobistym”. Pisany był w dość gorącym czasie, mianowicie w końcowej fazie przygotowywania w roku 2007 nowej ustawy „lustracyjnej”. Był to okres, z jednej strony, mobilizowania jej gorliwych rzeczników, którzy mieliby też zadbać – obok powołanych do tego instancji państwowych – o jej skuteczne wcielenie w życie, z drugiej zaś, nasilającego się oburzenia ze strony przedstawicieli kilku środowisk intelektualnych, najpierw niektórych dziennikarzy a następnie przedstawicieli środowisk akademickich, którzy dostrzegać zaczęli w projekcie ustawy rozwiązania odebrane przez te środowiska jako istotne zagrożenia dla dotychczasowego porządku konstytucyjnego oraz wolności obywatelskich.

Początek pisania tego tekstu przypada na czas spotkania [w roku 2007 ówczesnego]¹ Prezydenta RP z naukowcami entuzjastycznie odnoszącymi się do „ustawy o ujawnianiu”, końcowe rozważania spisane zaś zostały w chwili, kiedy chyba sam Prezydent i cały szereg

¹ Wtrącenia w nawiasie kwadratowym dodane zostały aktualnie, w roku 2015, w celu uczynienia pewnych fragmentów bardziej zrozumiałymi dla Czytelnika niepamiętającego Polski sprzed ośmiu lat. Zaznaczone zostały również trzema kropkami w nawiasie kwadratowym ([...]) opuszczenia pewnych partii tekstu, dyktowane koniecznością zmniejszenia rozmiarów zapisu niższych rozważań.

zwolenników ustawy uzmysłowiło sobie, że sprawą całkowicie przegraną jest bronienie konstytucyjności tej ustawy i że lepiej zacząć myśleć o tym, jak w takim razie zmienić konstytucję, żeby móc bez „przeszkód” (jakie stwarza konstytucja) realizować swoje wyobrażenie o tym, co „dobre dla Polski”. Z racji tej ewolucji postaw poniższy tekst może w jakimś sensie się zdezaktualizował, ale sformułowane wnioski dotyczą również teraźniejszości, gdyż przez ich pryzmat trzeba będzie zapewne patrzeć na spodziewane pomysły zmian konstytucyjnych.

Wprawdzie tekst jest przede wszystkim zapisem intelektualnej reakcji na konkretne wydarzenie historyczne w dziejach III Rzeczypospolitej (acz dla niektórych IV Rzeczypospolitej, której jednym z fundamentów i aktów erekcyjnych miała być m. in. rzeczona ustawa lustracyjna), to jednak wydarzenie to dało też asumpt do rozważań natury filozoficzno-etycznej, do refleksji nad stosowanymi przez nas w naszym moralnym myśleniu – by posłużyć się sformulowaniem wybitnego angielskiego etyka i ekonomisty, Henry Sidgwicka – „methods of ethics”, do przemyśleń nad rozbieżnymi bardzo sposobami pojmowania „tego, co dobre”.

Maj 2015

W liście zamieszczonym 25 marca 2007 na stronie internetowej „Gazety Wyborczej” oznajmiłem publicznie, że nie złożę oświadczenia lustracyjnego. W niespełna trzy tygodnie potem, 12 kwietnia 2007, zostałem jednak zmuszony do ponownego przemyślenia mej decyzji. Z różnych bowiem źródeł, w tym z ust samego Prezydenta RP, a także od podejmowanych owego dnia przez głowę państwa przedstawicieli mojej profesji, a ściśle biorąc tej części pracowników nauki, która *bez żadnych zastrzeżeń* akceptuje *obecną* „ustawę o ujawnianiu” (zwaną potocznie „ustawą lustracyjną”), usłyszeć można było argumenty i apele, które nie mogą nie skłaniać do samokrytycznego namysłu.

KONIECZNOŚĆ DOKONANIA SAMOKRYTYCZNEGO NAMYSŁU

Postanowiłem zatem poważnie zastanowić się nad swoją decyzją, a przede wszystkim nad „aksjologicznym zamieszaniem”, który to stan być może miał miejsce w moim umyśle przynajmniej w chwili deklarowania powyższej odmowy. Ponadto słysząc obszernie wyjaśnienia i apele, jak też zapewnienia – składane przecież nie cynicznie, lecz z jak najgłębszym przekonaniem – że obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego w żadnym razie nie jest zamachem na *moją* godność, uznałem, że jest rzeczą konieczną ponownie zastanawiać się nad moim myśleniem, które zawiodło mnie do oznajmionej publicznie decyzji – być może nazbyt pochopnej i nie całkiem uprawnionej. Co więcej, jako człowiek, który chce uchodzić za przedstawiciela nauki, muszę również starać się sprostać wymogowi poddawania krytycznej analizie nie tylko cudzych, ale przede wszystkim własnych przekonań i głoszonych przez siebie tez; taka zdolność do samokrytycznego spojrzenia na siebie jest przecież jednym z podstawowych elementów etosu naukowca. Musiałem zatem ponownie zastanowić się nad tym, czy moja decyzja była uprawniona, czy też raczej moje myślenie, które mnie do takiej decyzji zawiodło, wynikało z jakiegoś defektu

– czy to defektu mojego myślenia moralnego, a może z defektu mojego myślenia o państwie i sprawach publicznych, czy też po prostu z ograniczonej moich zdolności poznawczych, nie pozwalającej mi właściwie zdiagnozować stanu rzeczywistości, która powstaje wraz z wchodzeniem w życie obowiązującej obecnie „ustawy o ujawnianiu”. Wprawdzie z racji mej profesji – wykładam przede wszystkim etykę i filozofię społeczną – „na co dzień” zajmuję się takimi m.in. problemami, jak godność człowieka, czy też kwestia normatywnych podstaw ustrojów politycznych oraz kwestia praw i powinności obywatela, przez co na szereg pytań mam już raczej przemyślane, niejako „gotowe” odpowiedzi, jednak w świetle wygłaszanych apeli i prezentowanych argumentacji poczułem się zmuszony spojrzeć samokrytycznie na moje dotychczasowe myślenie oraz podjętą decyzję.

CZY WYPEŁNIENIE JEDNEJ RUBRYKI: „NIE WSPÓŁPRACOWAŁEM” MOŻE NARUSZAĆ MOJĄ GODNOŚĆ?

Przyznać muszę, że podejmując decyzję o niezłożeniu oświadczenia, nie przeprowadziłem żadnego wnikliwego namysłu nad odpowiedzią na tak postawione pytanie. Moja odmowa wynikała chyba z czegoś innego: kierowałem się zapewne mocnym, wewnętrznym przeświadczeniem (na ile uzasadnionym, to dopiero trzeba będzie poddać sprawdzeniu), że taki stan rzeczy, jaki powstaje za sprawą ustawy lustracyjnej, nie powinien mieć miejsca i że nie powinienem akceptować rzeczywistości ustanowionej mocą takiej właśnie ustawy. Ponieważ jednak jej obrońcy wskazali mi inną drogę rozumowania, ich zdaniem prawidłową, więc postawiłem sobie w końcu to wcześniej pominięte przeze mnie pytanie: czy złożenie oświadczenia lustracyjnego jest „zamachem” na moją godność czy też nie? Poszedłem więc tropem owego myślenia, którego kwintesencją jest wyrażone przez Prezydenta RP zdziwienie faktem, że można „nie być w stanie wypełnić krótkiej kartki, na której, jeżeli ktoś chce się uważać za inteligenta, to może wypełnić tylko jedną rubrykę – „nie współpracowałem”. Krocząc drogą „zaoferowanego” mi rozumowania, postawiłem sobie pytanie: czy jest coś złego we wpisaniu przeze mnie, zgodnie z prawdą, do odpowiedniej rubryki zdania powiadającego, że z żadnymi tajnymi służbami „nie współpracowałem” (jak też w nich nie służyłem, a także w nich nie pracowałem) i czy wypełnienie tej rubryki jest zamachem na moją godność? To, że bez żadnych wewnętrznych wahań i wątpliwości mogę wypełnić tę właśnie rubrykę było dla mnie oczywiste i to nawet bez otrzymanego przed dwoma laty zaświadczenia z IPN o statusie osoby pokrzywdzonej. Upoważnia mnie bowiem do tego trywialny fakt, że poza nieudaną próbą zwerbowania mnie przed ponad trzydziestu laty, nie miałem żadnego kontaktu z kimś, kto by się mi przedstawił jako osoba z MSW czy SB, czyli z tak zwanego „resortu”. Nie doszło do tego nigdy przy okazji odbierania

paszportu (który w czasach PRL-u odbierałem na Uniwersytecie), ani w jakichkolwiek innych okolicznościach. W czasach PRL-u nie pełniłem również żadnych funkcji kierowniczych, które zmuszały w owym czasie do przyjmowania np. na kawę i pogawędkę „opiekuna” przydzielonego danej jednostce organizacyjnej przez wiadomy „resort”. Byłem zapewne, jak to też wynika z otrzymanych z IPN dokumentów, tak „mało interesującym” dla „służb” osobnikiem – do którego to wniosku „służby” doszły, jak wynika z udostępnionych mi akt, po nieudanej próbie werbunku w roku 1975 – że najwidoczniej nikt z tego resortu nie odczuwał nigdy później potrzeby wchodzenia ze mną w jakiś otwarty i bezpośredni kontakt. (Pomijam najście dwu przedstawicieli tychże służb naszego mieszkania w czasie stanu wojennego, ale i w tym wypadku bezpośredni, osobisty kontakt ze „służbami” nie był mi dany, gdyż byłem w tym czasie w celach naukowych gdzieś poza Łodzią, przez co cały ciężar tego niemiłego zajścia musiała wziąć na swoje barki moja Żona). Skoro tak wygląda „bilans” moich kontaktów z tajnymi służbami, to chyba rzeczywiście nie mam powodu, by dalej zastanawiać się, lecz bez wahania powinienem wypełnić tę krótką kartkę i złożyć to (zapełniające tylko jedną rubrykę) oświadczenie: „nie współpracowałem”. Wygląda więc na to, że to nie ja, tylko rzecznicy obecnej lustracji mają całkowitą rację, albowiem w żadnej mierze tego rodzaju zgodne z prawdą wyznanie nie jest przecież zamachem na *moją* godność.

CZY PRZYCZYNIENIE SIĘ DO „UJAWNIEŃ PRAWDY O PRZESZŁOŚCI” MOŻE NARUSZAĆ MOJĄ GODNOŚĆ?

Obroncy obecnej ustawy zdają się mieć rację również i pod innym względem. Słuchając apeli i wyjaśnień tłumaczących mi, że chodzi przecież o to, by społeczeństwo, społeczność akademicka – naukowcy i studenci – poznali prawdę o minionych postawach i zachowaniach, muszą oczywiście stwierdzić, że moje poglądy akurat na tę sprawę nie różnią się wcale od poglądów obrońców obecnej ustawy. Zatem i w tym punkcie winienem zgodzić się z nimi i to pomimo tego, że podziwiam i szanuję postawę tych, którzy miłosiernie i mając też świadomość mniejszej czy większej fałszywości dokumentów SB – co w jakimś minimalnym zakresie mogą potwierdzić na podstawie części, jak mniemam, moich akt, które zostały mi udostępnione (udostępnione mi dotychczas akta dotyczą bowiem tylko nieudanej próby werbunku) – opowiadają się za ich opieczętowaniem na półwiecze bądź spaleniem. Poczynić powinienem jednak pewne drobne zastrzeżenie: wedle moich wyobrażeń, przy dokonywaniu jakichkolwiek ocen minionych postaw i zachowań podpadających pod „ustawę o ujawnianiu” uwzględniać jednak należy całość okoliczności, w tym zwłaszcza faktyczną szkodliwość czynów, a przede wszystkim trzeba brać pod uwagę całą publiczną biografię „prześwietlanej” osoby, łącznie z jej – czego przecież

w żadnym razie nie należy wykluczyć – przykładami szlachetności i przyzwoitości albo nawet świadectwami późniejszych zasług w działalności opozycyjnej, co też, jak wiadomo, miało w szeregu wypadków miejsce. Zastrzeżeniu memu zdaje się jednak wychodzić naprzeciw deklaracja złożona przez jedną z osób uczestniczących w spotkaniu Prezydenta ze zwolennikami obecnej „ustawy o ujawnianiu”, brzmiąca w jakimś stopniu uspokajająco, jako że wedle słów tej osoby: „Lustracja będzie dokonana w spokojnej i koleżeńskiej atmosferze”. Moje zastrzeżenie okazuje się zatem bezprzedmiotowe i mam w ten sposób już drugi powód, dla którego, bez żadnych obiekcji natury moralnej i bez wystawiania na szwank poczucia własnej godności, powinienem odstąpić od oznajmionej wcześniej decyzji i zaakceptować obecną ustawę lustracyjną. *Powiedzenie zgodnie z prawdą, że nie współpracowałem* a nadto *jeszcze urzeczywistnienie przy tej okazji pewnego dobra*, jakim jest odsłonięcie prawdy o przeszłości, w żaden sposób przecież nie mogą godzić w poczucie mojej godności.

Moje wcześniejsze wątpliwości wobec składania oświadczenia lustracyjnego zostały zatem, jak mi się zaczęło zdawać, całkowicie usunięte z chwili, gdy zgodnie z sugerowanym mi tokiem myślenia, skupiłem się *jedynie* na dwu poddanych mi pod rozagę kwestiach: (a) na tym, czy wypełnienie rubryki „nie współpracowałem” w czymkolwiek narusza moją godność oraz (b) na tym, czy godność moją narusza to, że światło dzienne ujrzy zatajana dotąd prawda o tym, że ten bądź ów skrzętnie albo pod haniebnym przymusem donosił na swoich kolegów lub też na swoich wykładowców. Ani to jednozdaniowe oświadczenie, ani to ujawnienie zatajanej prawdy nie jest, jak się okazało, zamachem na moją godność.

Skoro moja decyzja okazała się w świetle zaproponowanego mi rozumowania bezzasadna, to chciałem jednak, kierując się etosem naukowca, krytycznie spojrzeć na swoje myślenie i ustalić, co właściwie wywołało moją wcześniejszą reakcję, na czym polegało najwyraźniej panujące w owym czasie w moim umyśle „aksjologiczne zamieszanie” oraz chciałem też ustalić, jakie właściwie jest jego źródło. Czy moja reakcja wynikała, jak już zaznaczyłem, z jakiegoś defektu mojego moralnego myślenia, z jakiegoś patologicznego przewrażliwienia na własnym punkcie, czy też defektu moich władz poznawczych, albo też może jej przyczyną było uleganie presji jakiejś „grupy-myśli”, o którym to zjawisku wspomniał w swej diagnozie Prezydent RP, a z którego ja sam z całą pewnością nie zdawałem sobie sprawy, jako że właściwie *jedyną* „grupą”, w obrębie której przed podjęciem przeze mnie decyzji myśl o odmowie złożenia oświadczenia lustracyjnego była krótko rozważana, była dwuosobowa „grupa” złożona ze mnie i z mojej Żony.

WEWNĘTRZNY NIEPOKÓJ JEDNAK NIE USTĘPUJE

Wyciągnięcie za pomocą zaproponowanego rozumowania powyższych, jak najbardziej, jak mi się już zaczęło zdawać, prawidłowych wniosków nie przyniosło jednak, ku memu utrapieniu, całkowicie ozdrowieńczego skutku. Po zakamarkach mej duszy nie przestało się bowiem błąkać jakieś niepokojące mnie odczucie. Dręczyła mnie jakaś niejasna świadomość, że coś tu z tymi moimi rozumowymi wnioskami i zastosowaną aksjologią nie jest jednak w porządku, zaś ta niewinna (a nawet wręcz wzniosła i szlachetna) czynność, czyniąca ze mnie dopiero *prawdziwego* a nie jakiegoś farbowanego *inteligenta*, czynność, jaką miało być wypełnienie krótkiej kartki, na której z kolei mam do wypełnienia jedną tylko rubrykę, nie przestała napawać mnie niesmakiem, a co gorsza, miałem wrażenie, że jest to odczucie uzasadnione, czyli że czynność złożenia oświadczenia lustracyjnego takim właśnie niesmakiem napawać mnie też *powinna*. Jako że jednak w wypadku kwestii publicznych, wedle mego sposobu myślenia, kierowanie się odczuciami estetycznymi jest uprawnione jedynie o tyle, o ile owe odczucia mają podstawę w odczuciach moralnych, te zaś z kolei – by mogły zostać uznane za uprawnione – winny mieć oparcie w pewnych moralnych zasadach, zacząłem faktycznie sprawdzać, czy istnieją moralne przesłanki rzeczowego poczucia niesmaku. Nie od razu objawiły się mi one w dyskursywnej postaci, to znaczy w postaci jakiś twierdzeń etycznych czy zasad. Najpierw skrywały się one za pewnym odczuciem moralnym oraz budzącymi moralny niepokój obrazami i skojarzeniami. Jak się okazało, wyrażona aktem złożenia lustracyjnego oświadczenia akceptacja dla obecnej „ustawy” jednoznacznie kojarzyła się w mym umyśle z akceptacją, jakiej ludzie w różnych mało sympatycznych rzeczywistościach społeczno-politycznych udzielali swego czasu pewnym moralnie wątpliwym (by nie powiedzieć: wrednym) praktykom i ustawom, które mimo to przez wielu – niekiedy może nawet przez zdecydowaną większość ludzi żyjących w tych rzeczywistościach – traktowane były w owym czasie jako praktyki i rozwiązania prawne całkowicie „normalne”, aksjologicznie neutralne, pożyteczne, a z pewnością nie godzące w *ich* poczucie godności.

DRĘCZĄCE ASOCJACJE

Owe „rzeczywistości”, jakie dręcząc mnie jawiły się w mej głowie w reakcji na myśl o zaakceptowaniu przeze mnie obecnej „ustawy o ujawnianiu”, były niestety wszystkie bez wyjątku – wstyd to przyznać – mniej bądź bardziej parszywego pokroju. Myśląc o mej niemej akceptacji dla „ustawy o ujawnianiu” – wyrażonej pokornym złożeniem oświadczenia próbującego oznajmić wszemu światu, że „nie współpracowałem” – widziałem siebie na przykład Niemcem z Trzeciej Rzeszy, który też akceptował w niczym przecież nie naruszające jego godności (godności Niemca-Aryjczyka) rozporządzenie policyjne, które

nakazywało Żydom w widocznym miejscu na swym przydzwiewku przyszyć *Judenstern*, czyli tzw. „Gwiazdę Dawida”. Inny obraz i inna rzeczywistość, jawiące się w mej świadomości na myśl o tym, iż miałbym publicznie zgłosić swój akces do rzeszy tych, co „nie współpracowali”, to obraz siebie jako pełnoprawnego „białego” w Republice Południowej Afryki w czasach apartheidu. Myśląc o przestrzeni publicznej, w której będę się mógł poruszać po wypełnieniu rubryki: „nie współpracowałem”, a więc po samozlustrowaniu, czułem się jakbym był na miejscu tych, którzy w *Generalnej Guberni* (w pełnym brzmieniu: *Generalgouvernement für die besetzten polnischen Gebiete*) mieli prawo wstępu do kin, tramwajów i kawiarni zarezerwowanych „Nur für Deutsche”. Niewinność wypełnienia zgodnie z prawdą rubryki „nie współpracowałem” kojarzyła mi się też nieodparcie z niewinnością wypełnienia w czasach powiedzmy Bieruta w tzw. „ankiecie personalnej” rubryki „pochodzenie społeczne”; zapewne wypełnienie tej jednej rubryki w owym czasie także nie było zamachem na godność wypełniającego ankietę, zwłaszcza jeśli miałby wpisać w tę rubrykę zgodnie z prawdą jedną krótką frazę: „pochodzenie robotniczo-chłopskie”.

Za każdym razem, kiedy widziałem siebie Niemcem-Aryjczykiem w III Rzeszy, białym w RPA, okupantem korzystającym z lokalu „Nur für Deutsche” czy szczęśliwym posiadaczem w czasach stalinowskich pochodzenia „robotniczo-chłopskiego”, uzmysławiałem sobie, że plasując siebie – zgodnie z „obiektywną prawdą” na mój temat – w tej uprzywilejowanej pozycji, przyczyniam się do ustanawiania bądź utrwalania któregoś spośród całej gamy tych mniej czy bardziej parszywych ustrojów, czy też przynajmniej przyczyniam się do utrwalania którejs z mniej bądź bardziej parszywych praktyk. Asocjacje moje mogą być oczywiście całkowicie nieuprawnione, bo przecież, jak wiadomo, „IV Rzeczpospolita” to nie III Rzesza, ani RPA, ani GG, ani też „dyktatura proletariatu”. Ale dlaczego w takim razie pojawiają się takie asocjacje? A jak widać pojawiają się one nie tylko w moim umyśle, skoro o fenomenie określonym jako „aksjologiczne zamieszanie” mówi się aż z wysokości urzędu prezydenta państwa – a zatem zjawisko to przybrało najwidoczniej niepokojąco szerokie rozmiary.

CEL USTROJOWY: ODDZIELIĆ „DOBRYCH” I „GODNYCH” OD „ZŁYCH” I „NIEGODNYCH”, CZYLI POLITYKA MORALNO- -IDEOLOGICZNEJ BĄDŹ GODNOŚCIOWEJ SEGREGACJI

Będąc dręczony tego rodzaju asocjacjami, musiałem oczywiście zapytać siebie, w jakim stopniu skojarzenia te są w ogóle uzasadnione i czy nie są one przypadkiem produktem chorej imaginacji. By uzyskać odpowiedź na to pytanie, musiałem najpierw zastanowić się nad tym, czy istnieją jakieś momenty wspólne tym wszystkim przychodzącym na myśl rzeczywistościom i praktykom.

Mimo oczywiście wielorakich odmienności, bez trudu, jak się okazało, dostrzec można zasadnicze *strukturalne* podobieństwo quasi-ustrojowe, jak też podobieństwo *celów* i podobieństwo *metody* zastosowanej (przynajmniej w niektórych wypadkach) do osiągnięcia tych „ustrojowych” celów. Takim wspólnym celem ustrojowym we wszystkich tych rzeczywistościach jest, jak się okazuje, oddzielenie „dobrych” od „złych”, czyli „godnych” czegoś od tych, którzy tego czegoś nie są „godni” oraz zawarowanie dostępu do sfery publicznej (bądź dostępu do wręcz fizycznie pojętej przestrzeni publicznej) jedynie „dobrym” (tudzież tym, którzy są „godni” w niej się poruszają) i oczywiście zamknięcie jej przed tymi, którzy są „źli” bądź „niegodni” tego, by mieć do niej dostęp.

Być może w jakimś naiwnym umyśle (albo raczej w umyśle naiwność tylko udającym) pojawiłaby się natychmiast wobec powyższej tezy obiekcja, że przecież w każdym ustroju oddziela się „złych” od „dobrych”, a niektórych spośród „złych” zamyka się do więzień a nawet pozbawia się praw publicznych, z czego należałoby, wedle tych naiwnych umysłów, wnosić, że wskazana cecha nie powinna być traktowana zaraz jako symptom „parszywości” danego ustroju, danej rzeczywistości czy danej praktyki. Taki hipotetyczny krytyk sformułowanej przeze mnie tezy nie dostrzegałby jednak (albo udawałby, że nie dostrzega) fundamentalnej różnicy ustrojowej pomiędzy tym oddzieleniem, o którym on mówi, a tym, na które wskazuję ja, mając na uwadze mało sympatyczne przykłady na ogół źle kojarzących się rzeczywistości. Oddzielenie, o którym mówi ów hipotetyczny krytyk, to nie jest ani oddzielenie moralnie złych od moralnie dobrych, ani też oddzielenie godnych tego, by funkcjonowali w wymiarze publicznym, od tych, którzy są ponoć niegodni. Jest to tylko oddzielenie jednostek, które popełniły określone przestępstwa i zostają prawomocnym wyrokiem sądu skazane za określone czyny na karę, od pozostałej reszty społeczeństwa, której członkowie z tego tytułu, że nie popełnili danych przestępstw, nie są natychmiast uznani za moralnie dobrych i jedynie godnych tego, by mieć dostęp do sfery publicznej (jako że formalnie dostęp ten jest zagwarantowany wszystkim). Ta fundamentalna różnica polega więc na tym, że „wydzielenie” „złych” i „niegodnych” nie jest w wypadku tych „niesympatycznych” rzeczywistości rezultatem wyroku sądowego, wydanego każdorazowo w konkretnym, indywidualnym wypadku w odniesieniu do konkretnych karalnych czynów i to karalnych na podstawie *prawowicie* obowiązującego prawa, lecz jest wynikiem moralno-ideologicznego zakwalifikowania jakiejś części zbiorowości jako „złych” i „niegodnych” (jako np. Żydów, Murzynów, podludzi, kapusiów lub też jako kapitalistycznych krwiopijczy i wyzyskiwaczy). Trzeba przy tym zdawać sobie sprawę z tego, że jest rzeczą zupełnie nieistotną, czy to moralne bądź moralno-ideologiczne zaklasyfikowanie jakiejś zbiorowości jako zbiorowości „złych” i „niegodnych” uważalibyśmy za nie całkiem pozbawione jakiś moralnych racji, czy też uważalibyśmy to za przejaw chorej ideologii bądź też za coś moralnie całkowicie bezzasadnego. Nie to jest

bowiem istotne, czy – konkretnie biorąc – współpracę z tajnymi służbami uznaje się za coś moralnie nagannego, czy też za coś, co akurat nie jest moralnie naganne. Problem bowiem tkwi w czymś innym i wyrazić go można w pytaniu: czy państwu (władzy państwowej) w ustroju, który nie jest po prostu despocją czy dyktaturą, może w ogóle być udzielone określone, szczególnego zupełnie rodzaju, uprawnienie, mianowicie uprawnienie, jakiego posiadanie w tych wszystkich przychodzących na myśl wypadkach władza państwowa sobie usurpuje, to znaczy uprawnienie do stygmatyzowania na podstawie kryteriów moralnych (przykładem będzie wydzielenie zbiorowości „kapusiów i donosicieli”) bądź moralno-ideologicznych (przykładem będzie wydzielenie klasy „wyzyskiwaczy i krwiopijców”) jakiejś części zbiorowości politycznej jako segmentu złożonego z ludzi „złych i niegodnych”, a następnie odbierania segmentowi składającemu się z tych „niegodnych” prawa do funkcjonowania w sferze publicznej, z jednoczesnym „nobilitowaniem” innej części tej zbiorowości politycznej jako „moralnie nieskazitelnych” i „godnych” uczestniczenia w sferze publicznej? Odpowiedź moim zdaniem musi brzmieć jednoznacznie: Państwo, które nie chce być despocją czy dyktaturą, nie może usurpować sobie prawa do moralnego bądź moralno-ideologicznego zakwalifikowywania całych zbiorowości jako ludzi „złych i niegodnych”. Formułując moją tezę jeszcze dobitniej powiedziałbym, że to właśnie sam tego rodzaju cel, jaki stawia sobie władza, a mianowicie, posługując się kryterium moralnym bądź ideologiczno-moralnym: oddzielić „złych” i „niegodnych” od „dobrych” i „godnych”, jak też idąca w ślad za tym praktyka, są wystarczającym powodem, by ustrój zorientowany na taki właśnie cel musiał bardzo źle się kojarzyć i uczestniczenie w nim powinno w człowieku przyzwoitym wywoływać poczucie niesmaku.

PODOBIEŃSTWO METODY I PODOBNE ZORIENTOWANIE NA „WYŻSZE DOBRO”

Wspólna tym przychodzącym na myśl rzeczywistościom jest też metoda użyta do selekcjonowania „złych i niegodnych”. Pominąwszy segregację rasową, gdzie identyfikacji „złych i niegodnych” dokonała, można ironicznie (aczkolwiek bezpodstawnie) rzec, sama „matka natura”, to w trzech pozostałych przypadkach – to znaczy: przymusu złożenia oświadczenia lustracyjnego nałożonego „ustawą o ujawnianiu”, konieczności wypełnienia w czasach dyktatury proletariatu rubryki „pochodzenie społeczne” oraz nałożonego swego czasu na Żydów obowiązku przyszywania sobie „gwiazdy Dawida” – identyfikacji „złych i niegodnych” dokonać mają sami ci „źli i niegodni” (oczywiście odpowiednim „służbom kontrolnym” państwa powierzone zostaje zadanie zweryfikowania poprawności samoidentyfikacji, to znaczy sprawdzenia, czy któryś z tych, co wedle kontrolerów – ale też w zgodzie z „obiektywną prawdą”

– winni zakwalifikować siebie do „złych i niegodnych”, nie usiłuje się przemknąć do krainy „dobrych i godnych”). Innymi słowy, to sami „obwinieni”, którzy na mocy opinii dzierżących władzę uznani zostają za „złych” bądź „niegodnych”, mają dokonać aktu samonapiętnowania, które jest *moralnym* samooskarżeniem, stanowiącym wstęp do wykonania następnie na nich przez sprawujących władzę *politycznego* wyroku w postaci pozbawienia ich dostępu do określonych zawodów czy też prawa do pełnienia wszelakich funkcji, które sprawującym dyktat jawić się będą jako funkcje godne powierzenia jedynie osobnikom czystym moralnie, czystym klasowo albo też czystym pod względem rasowym.

W każdej z tych rzeczywistości *polityka i praktyka moralno-ideologicznej oraz godnościowej segregacji* realizowana jest ze względu na pewne wyższe dobro, ze względu na jeden lub kilka z poniższych celów, stale przywoływanych przez rzeczników tego typu polityki i tego rodzaju porządku ustrojowego. Takim celem może być (a) sprawne funkcjonowanie systemu, czego warunkiem ma być wyeliminowanie zeń tych, którzy albo do tego systemu nie dorosli intelektualnie i kulturowo (jak „czarni” w RPA), albo też nie mają odpowiednich kwalifikacji moralnych, wymaganych w rzeczywistości tworzonej przez „moralnie czystych i godnych”: w IV RP tymi pozbawionymi kwalifikacji moralnych mieli być m.in.: cwaniacy, cynicy, kapusie, współpracownicy tajnych służb, o ile urodzili się przed 1 sierpnia 1972, czyli krótko mówiąc ci, których chyba już klasyk obecnej rewolucji moralnej w sposób spuentowany i generalizujący opatrzył mianem „złogów gierkowsko-gomółkowskich”. Segregacji moralno-ideologicznej bądź godnościowej dokonuje się nie tylko w imię zapewnienia efektywności, wysokiej jakości i czystości budowanego ustroju (czystości moralnej, czystości klasowej bądź czystości rasowej), lecz także – dla niektórych może nawet przede wszystkim – dokonuje się (b) w imię sprawiedliwości, czyli oddawania „złym i niegodnym” tego, co im się należy. Kara, czyli wymierzenie „sprawiedliwości” (sprawiedliwości rasowej, klasowej bądź dziejowej), należy im się zaś z tej racji tego, że w minionym (tj. niesprawiedliwym tudzież złym) ustroju społecznym bądź politycznym mieli wyższą pozycję społeczną od tych, którzy są pokrzywdzeni albo przynajmniej mają się za pokrzywdzonych. Zwolennicy nowego ustroju chcą wymierzyć sprawiedliwość (prawdziwym i rzekomym) beneficjentom minionego ustroju, uznanego obecnie za zły i niesprawiedliwy. Trzecia Rzesza wymierzała karę przede wszystkim Żydom, a czyniła to z tego oto moralno-ideologicznego powodu, że nie dość, iż stanowią zagrożenie dla czystości rasy, to dominując w świecie wolnych zawodów i odgrywając znaczącą rolę w handlu oraz gospodarce, zamykali w poprzednim ustroju dostęp do tych obszarów „czystym rasowo”, prawdziwym niemieckim patriotom; „demokracja socjalistyczna” czyli „dyktatura proletariatu” karze burżujów i kapitalistów za to, że w minionym ustroju czerpali profity z klasowego wyzysku; IV RP ukarać zaś postanowiła wszystkich tych spośród

ludzi, którzy na transformacji ustrojowej nie dość, że nie stracili, to w szeregu wypadków zyskali i którzy albo okupują pozycje, do których pretendują obecni „czyściciele”, albo, co gorsza, funkcjonując w bardzo szeroko pojętej sferze publicznej jako członki społeczeństwa obywatelskiego (nie zaś segmenty władzy państwowej), nie chcą przyjąć wiernopoddanej postawy wobec obecnych politycznych decydentów, czyli wobec „czyścicieli” życia publicznego (media), politycznego, gospodarczego i intelektualnego. [...]

CZY POWYŻSZE ASOCJACJE NIE SĄ JEDNAK BŁĘDNE?

Wydaje się zatem, że istnieją pewne rzucające się w oczy podobieństwa pomiędzy ustrojami przychodzącymi na myśl w związku z „ustawą o ujawnianiu”, a także istnieje, choć trudno w to w pierwszej chwili uwierzyć i z tym się zgodzić, pewne powinowactwo rzeczywistości ustrojowej ustanawianej mocą tej ustawy z tamtymi mniej czy bardziej „parszywymi” ustrojami i rzeczywistościami. Tak przynajmniej sądziłem w świetle dotychczasowej analizy. Czy jednak te skojarzenia (i te nasuwające się analogie) są rzeczywiście uprawnione i czy porównania nie są za daleko idące?

Argument z faktu istnienia pewnego zakresu wolności

Przeciwko powyższym asocjacjom da się zapewne wysunąć szereg obiekcji, z których dwie czy trzy byłyby pewnie najważniejsze. Pierwsza obiekcja, najpoważniejsza, jest taka, że przecież w odróżnieniu od przychodzących na myśl i wymienianych tu parszywych ustrojów politycznych, w których od pewnego momentu ich istnienia nie mogły już paść słowa krytyki wobec realizowanej polityki i praktyki moralno-ideologicznej oraz godnościowej segregacji, w obecnej rzeczywistości wypowiedane tu słowa krytyki i ta krytyczna analiza mogą jeszcze ujrzeć światło dzienne, a zatem obrońca powstającej IV RP może powiedzieć z triumfem: istnieje tu przecież, w odróżnieniu od tamtych parszywych ustrojów, wolność słowa. Zachwyt nad tym faktem powinien jednak ulec znacznemu ostudzeniu z chwilą, gdy uświadomimy sobie, że znajdujemy się dopiero w fazie poprzedzającej nastanie IV RP, czyli w momencie przed objawieniem pełni skutków fundamentalnej dla nowego ustroju ustawy lustracyjnej. Należy zatem zapytać, jak będzie wyglądać wolność słowa w nowym ustroju, w którym zasada segregacji moralno-ideologicznej zostanie już urzeczywistniona? W tej nowej rzeczywistości ustrojowej piszący te słowa ani nie będzie mógł już kształcić młodych ludzi, ani też nie będzie mógł uprawiać nauki, gdyż w wyniku niezłożenia oświadczenia lustracyjnego, czyli w wyniku niezłożenia *wniosku o wystawienie przez władzę państwową świadectwa moralności*, które to świadectwo rzeczywiście jest równoznaczne – jak zauważają krytycy – ze świadectwem lojalności, przestanie pracować na uczelni. Oczywiście nie będzie miał wstępu do mediów

kontrolowanych bezpośrednio przez państwo bądź przez ideologów nowego ustroju. Pozostanie, rzecz jasna, i tym się faktycznie różnić będzie tworzony ustrój od przychodzących na myśl parszywych ustrojów, możliwość wypowiedzenia się w internecie bądź możliwość opublikowania krytycznej analizy w marginalizowanej prasie niereżimowej. Czy będzie można wówczas mówić o tym, że istnieje wolność słowa? Rzecznicy nowego ustroju powiedzą oczywiście, że tak. Nie zakazują przecież gadać każdemu, co mu się chce. (Ma być bodaj tylko zakazane wypowiadanie się źle o „narodzie polskim”). Czy jednak można się z nimi zgodzić? Czy możemy powiedzieć, że realizowana będzie konstytucyjna zasada wolności słowa? Przecież sam fakt, że komukolwiek, mocą ustawy, zostaje odebrane prawo dostępu do mediów publicznych (a w intencji i w dalekosiężnym planie do całej sfery mediów), świadczy niezbicie o tym, że nie może być tu mowy o przestrzeganiu zasady wolności słowa. W wolnościowym ustroju politycznym, czyli takim, gdzie wolność słowa jest zasadą konstytucyjną, zasadą ustrojową, nikomu nie można zakazać dostępu do mediów, nawet jeśli byłby to przestępca skazany wysokim wyrokiem (nawet jeśli dopuściłby się zbrodni przeciwko ludzkości). Bezcelnym podeptaniem fundamentalnego konstytucyjnego uprawnienia jest więc wprowadzony ustawą zakaz dostępu do mediów publicznych. Rzeczywistość ustrojowa, powstająca za sprawą ustawy lustracyjnej, wygląda, patrząc oczami budowniczych nowego ustroju, następująco: władza, oczywiście, nie depcze wolności słowa, bowiem możecie sobie gadać, co chcecie, tyle tylko, że nie wolno wam być dziennikarzami i wy nie macie prawa występować w mediach publicznych (jak też we wszelkich mediach kontrolowanych przez władzę) – „wy” to znaczy ci, którzy się okazali niegodni funkcjonowania w sferze publicznej, gdyż nie zwrócili się do nas, to znaczy do sprawujących władzę, o wystawienie im świadectwa moralności; taki akt dyskwalifikuje bowiem moralnie i czyni dane osoby niegodnymi funkcjonowania w sferze publicznej.

Warto na marginesie nadmienić, że nawet w czasach PRL-u próbowano zachować pewne pozory braku moralno-ideologicznej segregacji. Właściwy ówczesnej epoce wymóg złożenia *wniosku o wystawienie przez władzę państwową świadectwa moralności*, mający postać nieformalnie, pozaprawnie formułowanego wymogu złożenia wniosku o wstąpienie do PZPR, nie był wymogiem bezwzględny. Człowiekowi, mimo wszystko, pozostawiony był pewien wybór: albo złożyć wniosek i mieć większe szanse uzyskania możliwości funkcjonowania w sferze publicznej, albo nie złożyć, co oczywiście zmniejszało te szanse, ale wcale nie musiało oznaczać całkowitego uniemożliwienia funkcjonowania w sferze publicznej (w pewnym okresie PRL-u „bezpartyjni” fachowcy i poplecznicy byli na przykład o wiele bardziej mile widziani, aniżeli wewnątrzpartyjni krytycy tacy jak chociażby, zepchnięty w owych czasach na margines świata publicznego, Stefan Bratkowski). Bezwzględnie natomiast, acz często czysto formalnie, przestrzegany był wymóg

opiniowania przez odpowiednie instancje partyjne *każdego* kandydata do funkcjonowania w sferze publicznej (na przykład do pracy na uczelni), czyli wymóg wystawienia mu przez odpowiednią instancję opinii, a zatem swoistego „świadczenia moralności”, o którego wystawienie nie był on jednak zmuszony sam się zwracać. Jako że nie miało to umocowania w ustawie, lecz było to pewną praktyką, stwarzało to na przykład możliwość, że ten sam niepokorny człowiek, a przynajmniej za takiego uznany, w jednym miejscu mógł utracić pracę, ale mógł zostać zatrudniony gdzie indziej (jak na przykład profesor Stefan Morawski, który po usunięciu z UW, będąc pracownikiem PAN-u, nie mógł wykładać w Warszawie, jednak w latach 80. prowadził wykłady i zajęcia dydaktyczne w Katedrze Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego). W sytuacji obecnie [tj. w kwietniu roku 2007] obowiązującego wymogu złożenia *wniosku o wystawienie przez władzę państwową świadectwa moralności* takiej możliwości już nie będzie. Zakaz bezwzględny dotyczy tu całego kraju i całej sfery publicznej – limitowany jest tylko wiekowo: dotyczy urodzonych przed 1 sierpnia 1972.

Wracając do omawianego argumentu wymierzonego przeciwko trafności nasuwających się ustrojowych skojarzeń, czyli do argumentu „z faktu istnienia wolności słowa”, dowodem błędności nasuwających się skojarzeń ma być ta oto okoliczność, że przedstawiona tu krytyka zaprowadzanego obecnie ustroju może w tej chwili zostać wyartykułowana i za samo jej wyartykułowanie nikt nie idzie do więzienia. Nie zostaje też za to pozbawionym prawa głosu swoich poglądów. Argument z faktu „istnienia wolności słowa” jest jednak nader słaby – nieprzekonujący. Fakt, że coś można jeszcze wyartykułować i upublicznić, nie jest bynajmniej świadectwem przestrzegania konstytucyjnej zasady wolności słowa. Argument ten jest tak samo trafny, jak trafny jest argument, że za Gierka (czy zwłaszcza w drugiej połowie lat 80.) można było w PRL-u powiedzieć znacznie więcej aniżeli w jakimkolwiek innym państwie bloku komunistycznego. Zarówno w wypadku pochwały czasów Gierka i drugiej połowy lat 80., jak też pochwały ustroju budowanego za pomocą ustawy lustracyjnej, pozytywna opinia o tych rzeczywistościach wynika stąd, że za punkt odniesienia bierzemy całkiem parszywą postać danego ustroju i na jego tle dana rzeczywistość nieuchronnie jawić się będzie jako jeszcze względnie dobra i godna pochwały. W jednym wypadku tym punktem odniesienia czynimy system, w którym żadna krytyka nie jest możliwa, a w sferze publicznej pojawić się mogą tylko takie wypowiedzi, które są oczekiwane przez władzę, w drugim zaś – system, w którym nie tylko pewnej grupie ludzi zakazany jest dostęp do mediów, a zatem odebrane jest prawo funkcjonowania w sferze publicznej, ale zakazane jest w ogóle wypowiadanie pewnych treści i zakaz ten dotyczy wszystkich, a nie tylko tych, których dopuszczono do głównych mediów (bezpodstawnie nazywanych w warunkach ich całkowitego upartyjnienia „mediami publicznymi”). Zarówno jedna, jak i druga rzeczywistość, przez to, że są o wiele lepsze od tego, czym byłyby w swej czystej postaci, czyli przez to, że

odbiegają od swych „typów idealnych”, nie mogą jednak zostać określone mianem ustroju realizującego konstytucyjną zasadę wolności słowa. Ani to, że w danych warunkach można powiedzieć znacznie więcej, niżli tylko to, czego życzyłaby sobie i oczekiwała władza, ani to, że istnieje tylko podmiotowo określony zakaz dostępu do sfery publicznej, zachowane jest natomiast prawo głoszenia własnych poglądów (które to prawo w takich warunkach musi z czasem okazać się czysto fikcyjne) – faktów tych nie można traktować jako dowodów na to, że mamy tu do czynienia z ustrojami, w których przestrzegana jest fundamentalna zasada wolności słowa. Wolność słowa jest zasadą, której nie można ograniczyć podmiotowo bez zaprowadzenia w miejsce ustroju wolnościowego ustroju dyktatorskiego, czy też, jak nazywa go Kant, ustroju despotycznego. Ograniczenie wolności słowa może wprawdzie dotyczyć prawa do głoszenia pewnych treści, ale nie może to być ograniczenie dotyczące jakichkolwiek osób czy grup osób – w takim wypadku zawsze stanowić to będzie przejaw jakiegoś rodzaju segregacji. Oczywiście trzeba też bardzo ostrożnie obchodzić się w systemie wolnościowym z zakazem głoszenia pewnych treści. Tego rodzaju zakaz musi być traktowany jako pewien ekstremalny wyjątek w ramach systemu wolnościowego (takim wyjątkiem jest na przykład w Niemczech zakaz wypowiedania treści określonych jako tak zwane „kłamstwo oświęcimskie”).

Argument z moralnej słuszności obecnej segregacji

Druga obiekcja, którą zgłosiłby oponent, kwestionujący trafność przychodzących na myśl skojarzeń z owymi (raczej niemile wspomnianymi) ustrojami, brzmiałaby następująco: dokonywany w tamtych mniej czy bardziej „parszywych” ustrojach i rzeczywistościach podział na „złych” i „dobrych” tudzież „godnych” i „niegodnych” nie był, w odróżnieniu od podziału, jaki ma być efektem „ustawy o ujawnianiu”, moralnie uprawniony. Donoszenie czy sama już tylko zgoda na współpracę (chyba, że wyrażono ją pod groźbą utraty życia – *vide* „ustawa o ujawnianiu”) jest czymś moralnie nagannym (zwłaszcza, że przynosić mogła określone profity), natomiast nie ma niczego moralnie nagannego w byciu Żydem, Murzynem czy też dzieckiem ziemianina bądź wielkoprzemysłowego przedsiębiorcy. Tak więc podział, którego dokonania domagał się ustawotwórca IV RP wydając „ustawę o ujawnianiu” jest (w odróżnieniu od tamtych podziałów) po prostu moralnie uprawniony.

Argument ten jest w równym stopniu trafny, co i nietrafny. Trafny jest on o tyle, że jeśli traktuje się bycie „czarnym”, bycie Żydem, bycie kapitalistą jako neutralny fakt, to znaczy jako coś, co jest zupełnie obojętne pod względem moralno-światopoglądowym, zaś „bycia współpracownikiem” w ten sam sposób już się nie traktuje, to oczywiście między jedną segregacją a drugą będziemy mieli różnicę i ta pierwsza – ta ze względu na bycie „czarnym”, Żydem, burżujem i kapitalistą – będzie mogła być uznana za moralnie nieuprawnioną.

Trzeba jednak pamiętać, że w tych bezwiednie nasuwających się na myśl ustrojach nie traktowano „bycia kimś tam” jako faktu obojętnego pod względem moralno-światopoglądowym, lecz właśnie jako fakt moralnie i światopoglądowo doniosły: bycie „czarnym” było równoznaczne z brakiem jakichkolwiek kwalifikacji do uczestniczenia w jednej wspólnej sferze publicznej, bycie Żydem było równoznaczne z wyrządzaniem szkody i wnoszeniem destrukcyjnych pierwiastków do zdrowej germańskiej cywilizacji, a także z pozbawieniem członków narodu niemieckiego możliwości rozwoju, bycie zaś kapitalistą było równoznaczne z wyzyskiwaniem, czyli z dopuszczaniem się niesprawiedliwości wobec tej części społeczeństwa, która nie należała do beneficjentów uprzedniego (kapitalistycznego) ustroju. Jeśli uświadomimy sobie, że samo to „bycie kimś tam” może w ramach jednego obrazu świata okazać się faktem neutralnym pod względem moralno-światopoglądowym, w ramach innego zaś takim neutralnym faktem już nie będzie i jeśli ponadto zdamy sobie sprawę z tego, jakie wredne konsekwencje pociąga za sobą zaangażowanie się państwa w politykę dyktowaną kryteriami moralno-ideologicznymi, to pierwszą rzeczą, jakiej należy domagać się od państwa byłoby to, że musi się całkowicie wycofać z napiętnowania jakichkolwiek grup czy segmentów społeczeństwa oraz poszczególnych członków tych grup za „bycie kimś tam” i posługiwanie się jedynie kryterium karalności *czynów*. Państwo, a to znaczy w tym wypadku sąd, „napiętnuje” (czyli karze) tylko wtedy, kiedy *czyn* może zostać prawowicie uznany za karalny. W konkretnej, interesującej nas kwestii, czyli kwestii napiętnowania z tytułu współpracy z tajnymi służbami minionego ustroju, wypływa stąd wniosek następujący: społeczeństwo i jego poszczególne segmenty – media, gospodarka, nauka, związki zawodowe, związki wyznaniowe, stowarzyszenia itp. – mogą (i powinny) spierać się o ocenę poszczególnych postaw oraz czynów w minionym ustroju i ewentualnie osoby, których niegdyś zachowania uznane zostaną za naganne, ukarać ostracyzmem bądź poddać karom dyscyplinarnym. W napiętnowanie, według kryteriów moralnych i światopoglądowych czy ideologicznych, nie powinno natomiast w żadnej mierze angażować się państwo, któremu przyzwolić można jedynie na napiętnowanie (i to *tylko drogą sądową*, a nie jakąś parajurydyczną, to znaczy bez żadnej procedury sądowej i odwoławczej) *czynów* karalnych na mocy prawowitego prawa, nie można zaś przyzwolić państwu na napiętnowanie *postaw* uznawanych za moralnie naganne, jak chociażby „kapowanie” czy pisanie donosów, nie można też przyzwolić państwu na wymierzanie przezeń kary za wyżej wymienione czyny. Nawet formalnej współpracy ze „służbami” – zwłaszcza, gdy każde otarcie się o „ubeka” zakrawa w świetle obecnej ustawy na współpracę – nie można traktować jako dopuszczenia się czynów niegodnych, a tym bardziej jako dopuszczenie się czynów karalnych. Z owym „byciem współpracownikiem” nie jest tak, jak na przykład z „byciem szmalcownikiem” – w pierwszym wypadku wiemy coś o „postawie”

inkryminowanego, nie wiemy nic o „czynach”, w drugim wypadku wiemy natomiast, że musiały mieć miejsce określone „czyny” – moralnie naganne a zapewne też i prawnie karalne – na podstawie których możemy wносить również o „postawie”.

Mówiąc krótko: nawet jeśli uznajemy, że dane czyny i postawy uznać należy za moralnie naganne, to:

- państwo, ustawodawstwo i organy władzy nie są od tego, by kogokolwiek napiętnować za jego uchybienia moralne ani to w postaci moralnie nagannych czynów, ani też w postaci moralnie wątpliwych postaw;
- w gestii państwa leżeć może tylko pociąganie do odpowiedzialności za konkretne czyny karalne na mocy prawowicie obowiązującego prawa (należy przy tym pamiętać, że nie każde prawo, nawet ustanowione w tak zwanej procedurze demokratycznej, jest prawowite, bo przecież za prawowite prawo nie można uznać prawa, z mocy którego skazano rodzeństwo Scholl na śmierć);
- fundamentem państwa, wedle reprezentowanej tu jego wizji, jest zatem rozdział na to, co legalne i na to, co moralne: państwo – w odróżnieniu od poszczególnych członów społeczeństwa: poszczególnych jego członków i segmentów – może napiętnować tylko to, co nielegalne, w społeczeństwie natomiast mogą się toczyć i winny się toczyć spory o moralną ocenę danych postaw i zachowań.

Powyższa elementarna zasada jest właściwa dla pewnej określonej koncepcji, wizji czy po prostu *idei państwa*, która to idea stanowi także punkt odniesienia przy ocenianiu różnych wspomnianych wyżej ustrojów społecznych i politycznych. Jest to wizja po kantowsku pojętej republiki, a zarazem fundamentalna idea, na której bazują nowoczesne ustroje liberalno-demokratyczne. Republika, czyli „rzeczpospolita”, to w myśl tej koncepcji ustrój, w którym obywatele, to znaczy ludzie wolni i równi (tudzież mający się za prawodawców), sami stanowią o sobie, a stanowione przez nich prawo jest wyrazem ich wspólnej woli. Przez pryzmat takiej właśnie idei postrzegana jest, w prezentowanych tu rozważaniach, również rzeczywistość ustrojowa konstytuowana za sprawą obecnej [to znaczy: w kwietniu 2007 roku] „ustawy lustracyjnej”. Sama ta ustawa jawi się w świetle powyższej idei jako zmuszająca ogromną grupę ludzi, tworzących najważniejszy segment *społeczeństwa obywatelskiego*, do tego, by – pod groźbą odebrania im ich niezbywalnych praw – zwrócili się do państwa z wnioskiem o wydanie każdemu z nich „świadcstwa moralności”. Obydwie wskazane tu rzeczy są nie do zaakceptowania z punktu widzenia rzeczzonego „ustroju obywatelskiego”: ani nałożony na całą rzeszę ludzi przymus zwrócenia się do państwa z wnioskiem o wystawienie im „świadcstwa moralności”, dzięki któremu otrzymają dopiero „prawo” funkcjonowania w wymiarze publicznym społeczeństwa obywatelskiego, ani sankcja dla niepokornych w postaci odebrania na 10 lat podstawowego prawa

obywatelskiego, nie są do pogodzenia z ustrojem obywatelskim. [...] Rzeczywistość ustrojowa, jaka ustanowiona zostaje mocą obecnej ustawy lustracyjnej, jawi się w świetle idei ustroju republikańskiego, niestety, jako rzeczywistość, w której władza państwowa wyposażona zostaje w takie uprawnienie, co do którego trudno sobie wyobrazić, by ci, uchodzący (mający się) za równych i wolnych, mogli go udzielić władzy państwowej, która przecież winna być ich reprezentantem i realizatorem ich prawodawczej woli. Musieliby bowiem udzielić władzy państwowej prawa do przeprowadzenia segregacji obywateli na podstawie kryteriów moralno-ideologicznych oraz prawa pozbawienia obywatela, za jego niesubordynację, prawa dostępu do sfery publicznej. „Obywatele” dający władzy tego typu uprawnienie musieliby być rzeczywiście albo politycznymi samobójcami, albo też nie byłiby to obywatele – a zatem ci, którzy tak samo siebie, jak i innych mają za tak samo wolnych i równych – tylko kandydatami do kategorii osób uprzywilejowanych. Rzeczywistość ustanowiona mocą obecnej ustawy lustracyjnej jest rzeczywistością, w której nie ma już obywateli jako tych, którzy są wolni i równi, lecz jest to rzeczywistość, w której, po pierwsze, państwo kwalifikuje na podstawie przesłanek moralnych bądź moralno-ideologicznych obywateli jako „dobrych”– „złych”, „godnych”–„niegodnych”, po drugie, dokonuje nieuchronnie segregacji, odbierając pewne niezbywalne prawa „niegodnym” i „niepokornym”. Cechy tego ustroju oraz destrukcja obywatelskości widoczne są tylko wówczas, jeśli na rzeczywistość konstytuowaną ustawą lustracyjną patrzymy przez pryzmat idei po kantowsku rozumianego ustroju republikańskiego, czyli ustroju obywatelskiego. Na marginesie warto zaznaczyć, że owa idea, jako pewien miernik, służyć może nie tylko do oceny pewnego ustroju, zaprowadzanego tak istotną ustawą, ale także jako miernik uchwalonej przez daną empiryczną społeczność konstytucji. To właśnie wedle idei ustroju republikańskiego oceniać trzeba będzie, jeśli do tego dojdzie, konstytucję, która miałaby obowiązywać w IV RP.

Na koniec analizy tego argumentu warto wskazać na dwie rzeczy. Po pierwsze na to, że odwoływanie się do „moralnej słuszności” kwalifikowania współpracowników tajnych służb jako „moralnie złych i niegodnych”, a tych, co nie współpracowali jako „dobrych i godnych”, nawet jeśli negatywna ocena faktu współpracy nie jest pozbawiona moralnej słuszności (z czym się skądinąd w jakimś stopniu zgadzam, bo gdybym się nie zgadzał, to bym pewnie nie odmówił swego czasu współpracy z tymi służbami), jednak nie prowadzi do wniosku, że tego rodzaju kwalifikacji moralnej ma prawo dokonywać władza państwowa, zawarowująca nadto dostęp do sfery publicznej jedynie „moralnie godnym”, gdyż to nie w jej gestii winno leżeć ferowanie moralnych wyroków. Oczywiście, powyższe stwierdzenie zachowuje ważność tylko wówczas, kiedy punktem odniesienia czynimy rzeczony „ustrój obywatelski”, a dokładnie ideę ustroju obywatelskiego, w którym państwo nie ma prawa dokonywać segregacji obywateli na podstawie kryteriów moralnych (co nie znaczy, że obywatele nie

mają jednak prawa dokonywać moralnej oceny swych reprezentantów). Po drugie zaś, z perspektywy „ustroju obywatelskiego” wszystkie inne ustroje, odstające od idei tego ustroju, jawić się muszą jako ustroje, jak powiada Kant, despotyczne, czyli jako jakieś postacie dyktatury. Powyższej oceny nie można oczywiście rozumieć w ten sposób, że wszystkie ustroje, które nie przystają do idei czy kłócą się z ideą „ustroju obywatelskiego” są w równym stopniu godne potępienia. Z tezą taką mógłby wystąpić tylko tak dalece bezmyślny osobnik, jak ten, który nie widziałby różnicy między reżimem Pol Pot a rządami w PRL-u Edwarda Gierka, czy też nie widział różnicy między stanem wojennym czasów generała Jaruzelskiego a reżimem Hitlera (czy chociażby juntą Pinocheta). Trzeba zatem, z jednej strony, znać miarę, z drugiej zaś – kiedy bierze się za punkt odniesienia ideę republiki, czyli „ustroju obywatelskiego” – zachować świadomość, że każde odejście od idei ustroju obywatelskiego jest krokiem w kierunku ustroju despotycznego, czy jak byśmy dziś powiedzieli: ustroju autorytarnego. Tak też należy patrzeć na wypowiedzaną tu ocenę ustroju powstającego za sprawą obecnej ustawy lustracyjnej: nie jest to oczywiście rzeczywistość o tym samym stopniu represyjności i „nieobywatelskości”, co reżim Bieruta czy Pinocheta, ale nie zmienia to faktu, że jest to nierepublikański ustrój (mniej czy bardziej autorytarny).

„Drobną” ilustracją tego, że obecna [chodzi oczywiście o rok 2007] ustawa lustracyjna jest krokiem w kierunku nierepublikańskiego, dyktatorskiego ustroju niech będzie chociażby takie oto przewidziane w niej osobliwe „rozwiązanie”, jak brak zobowiązania ze strony państwa, które wystawiać ma „świadczenia moralności”, do wydania go w jakimś określonym terminie, co oznacza, że delikwent, który składa oświadczenie, że nie współpracował, może do swej śmierci nie doczekać się „urzędowego” poświadczenia, że oświadczając to nie łże w żywe oczy. Z „logiką” tego dyktatorskiego myślenia koresponduje także przyjęta w ustawie „zasada”, że wyroki uznające kogoś za kłamcę lustracyjnego są wiążące, zaś wyroki uznające, że ktoś kłamcą lustracyjnym nie jest wiążącymi już nie są.

Argument z „braku różnicy” (między „starym”
a „nowym” oświadczeniem lustracyjnym)

Trzecia zaś obiekcja, nieco innego rodzaju, powtarzana *nota bene* powszechnie, ale całkiem bezmyślnie – albo też zupełnie rozmyślnie, lecz w takim razie całkiem bezczelnie – przez gorących rzeczników „ustawy o ujawnianiu”, dotyczy ponoć całkowicie dla tych osób niezrozumiałego zachowania ludzi, którzy nagle odmawiają złożenia oświadczenia lustracyjnego, mimo że „takie samo oświadczenia składali już kilkakrotnie”. Jak to jest możliwe, głowią się rzecznicy obecnej „ustawy o ujawnianiu”, że ktoś, na przykład jako sędzia, bez szemrania złożył swego czasu oświadczenie o tym, że nie współpracował, a teraz nagle, jako naukowiec, nie chce „tego samego” uczynić i nie zamierza się

podporządkować „takiemu samemu” obowiązкови, nałożonemu mu przez nową ustawę? Jak to jest możliwe, że ktoś taki, jak prof. Geremek, który mimo że już trzykrotnie składał analogiczne oświadczenie i mimo tego, że bez szemrania oświadczenie takie złożyło pięćdziesięciu pozostałych polskich europarlamentarzystów, nagle, sam jeden zaczyna wykonywać jakieś gesty totalnie niezrozumiałe dla budowniczych IV RP (i co gorsza mają to ponoć być gesty, wedle opinii tych budowniczych, szkodzące Polsce).

Budowniczowie IV RP prawdopodobnie rozumują (a z pewnością argumentują) następująco: wcześniej wprowadzony obowiązek składania oświadczeń lustracyjnych przez osoby pretendujące do najwyższych państwowych godności oraz przez sędziów nie budził niczych obiekcji. Jest to pośredni dowód na to, że nie ma niczego nagannego, niczego co by upoważniało do moralnego i politycznego sprzeciwu wobec zastosowania „tego samego” narzędzia wobec osób, które, podobnie jak objęci wcześniej obowiązkiem lustracji, należą też do grupy osób piastujących funkcje publiczne bądź wykonujących zawody „zaufania publicznego”. Argumentacja wydaje się całkiem poprawna i nie dająca się zakwestionować. A jednak. Jest przynajmniej pewna istotna luka bądź niespójność w argumentacji obrońców obecnej ustawy. Ich rozumowanie odwołuje się do niedyskutowanego założenia, że nie ma w zasadzie różnicy między wcześniejszym i obecnym oświadczeniem lustracyjnym, a z pewnością nie powinno być takiej różnicy dla kogoś, kto, jako sędzia czy europoseł, złożył już uprzednio takie właśnie oświadczenie. Jeśli rzecznik obecnej „ustawy o ujawnianiu” wierzyłby rzeczywiście w to, co mówi, to znaczy w to, że nie ma różnicy między „tamtą” a „tą” lustracją, to pierwszą rzeczą, jaką powinien uczynić byłoby żądanie, by ustawodawca usunął natychmiast zbędny absurd tej ustawy i zwolnił z obowiązku składania oświadczenia właśnie osoby, które już składały takie oświadczenie. Jedynie w ten sposób mógłby nieco uwiarygodnić to, iż szczerze wierzy w to, co mówi, to znaczy w to, że nie ma różnicy między tamtym złożeniem przez osobę X oświadczenia a obecnym składaniem przez nią oświadczenia. Jak długo nie żąda usunięcia rzekomego „zbędnego absurdu” nowej ustawy, tak długo swą postawą potwierdzać będą tylko to, co głoszą jej przeciwnicy oraz ci, którzy odmówili ponownego złożenia oświadczenia, a mianowicie to, że istnieje przepaść pomiędzy starą i nową ustawą lustracyjną, bowiem nowa ustawa stwarza zupełnie inną rzeczywistość ustrojową, aniżeli ta, która istniała pod rządami starej ustawy.

Na czym polega ta różnica? Fundamentalna różnica polega na całkowitym odwróceniu logiki lustracji: z uprawnionego narzędzia w rękach społeczeństwa obywatelskiego, służącego sprawowaniu przez to społeczeństwo kontroli nad władzą (a dokładnie biorąc nad pretendentami do władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędziowskiej), w tym zwłaszcza narzędzia mającego pozwolić wyeliminować pewne możliwości szantażowania i korumpowania przedstawicieli władzy, lustracja przekształcona została w narzędzie kontrolowania przez

władzę całej niemal sfery publicznej, a zatem tej centralnej sfery społeczeństwa obywatelskiego, w której właśnie w niezależnieniu od władzy społeczeństwo to pełnić powinno takie swe funkcje, jak kontrolowanie władzy, edukowanie, prowadzenie niezależnych badań naukowych i konfrontowanie ze sobą różnych wyobrażeń światopoglądowych (w tym m.in. także konfrontowanie ze sobą różnych wizji historii). Odwróceniu relacji między władzą a społeczeństwem służyć ma właśnie obecna ustawa, jako że jest narzędziem pozwalającym niektórym usuwać ze sfery publicznej (przede wszystkim tych, którzy nie chcą wiernopoddańczo poddać się dyktatowi), innym koncesjonować dostęp. Generalnie zaś ma ona sprawić, co wyznał jeden z głównych budowniczych IV RP, że nawet ci, którzy są przeciwnikami nowego, prawicowo-etatystycznego ustroju i panującej opcji ideologicznej, staną się jej rzecznikami i to nawet wówczas, gdy sami nie będą mieli tego świadomości – używając pojęć zaczerpniętych z filozofii Hegla i Marksa można by stwierdzić, że staną się sojusznikami budowniczych IV RP jako „klasa w sobie” (a zatem jako klasa społeczna pozbawiona świadomości tego, kim rzeczywiście jest), atoli jeszcze nie jako „klasa dla siebie” (kiedy to dana klasa społeczna posiada już samowiedzę i świadoma jest tego, kim jest).

To właśnie świadomość, czasem nawet nie do końca zwerbalizowana, że obecny obowiązek lustracyjny jest czymś fundamentalnie różnym od wcześniejszego obowiązku złożenia oświadczenia i że obecna ustawa zaprowadza całkowicie nowy ustrój, sprzeczny z ustrojem zapisanym i wyartykułowanym jako wola powszechna w Konstytucji III Rzeczypospolitej, gdyż odwracającym relację między władzą i społeczeństwem, jest właśnie źródłem takich niezrozumiałych ponoć, przynajmniej dla drugiego garnituru budowniczych IV RP (choć i w ich wypadku trudno w to naprawdę uwierzyć), reakcji obywateli, jak odmowa złożenia oświadczenia przez kogoś, kto składał „takie samo” oświadczenie już kilkakrotnie bądź odmowa złożenia takiego oświadczenia przez kogoś, kto jako dziennikarz czy naukowiec składałby takie oświadczenie po raz pierwszy, a nie miałby do wypełnienia niczego więcej poza rubryką: „nie współpracowałem”.

Dla tych, którzy wciąż nie mogą pojąć różnicy między wcześniejszą lustracją, dotyczącą wąskiej grupy osób, pretendujących do najwyższych godności państwowych, a obecną lustracją, obejmującą dodatkowo setki tysięcy osób, które nie funkcjonują w segmencie, który się nazywa „władza państwowa” (przez co należy rozumieć władzę: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą), lecz w segmencie, który się nazywa „społeczeństwo”, miałbym pewną zagadkę czy też pewną wprawkę intelektualną. Ci, którzy twierdzą, że nie ma różnicy między starą a nową lustracją zgodzą się przynajmniej z tym, że zmieniła się skala lustracji, czyli znacznie wzrosła ilość objętych nią osób i ogarnęła tę część funkcji, które nie wchodziły w zakres żadnego z segmentów władzy państwowej. O tym, że zmiana skali, czyli zmiana ilościowa, może oznaczać całkowitą

zmianę treści i sensu określonego przedsięwzięcia, czyli może oznaczać zmianę jakościową, niechaj świadczy chociażby to, że rozciągnięcie wymogu noszenia mundurków z uczniów szkół podstawowych i gimnazjów na licealistów, studentów, nauczycieli, wykładowców szkół wyższych oraz pracowników obu działających w tym obszarze ministerstw oznaczałoby nieuchronnie „przejście ilości w jakość”, czyli dodanie zupełnie nowego sensu nałożonemu obowiązkowi, który w mniejszej skali może być kontrowersyjny, ale byłby ewentualnie akceptowalny w nieparszywym ustroju politycznym (jak i społecznym), natomiast zaprowadzony w skali znacznie szerszej staje się znamieniem takiego właśnie parszywego ustroju. Zadanie, jakie mieliby do rozwiązania obrońcy obecnej ustawy lustracyjnej, którzy między starym a nowym obowiązkiem złożenia oświadczenia „nie widzą żadnej różnicy”, polegałoby na przedstawieniu przez nich argumentacji tłumaczącej, iż nie ma niczego złego w rozciągnięciu obowiązku noszenia mundurków z uczniów szkół niższych na wszystkich tych, którzy winni dawać przykład swym wychowankom, co najlepiej zaś uczyniliby, sami przywdziewając odpowiednie mundurki.

ICH „AKSJOLOGICZNY ŁAD” *VERSUS* MOJE „AKSJOLOGICZNE ZAMIESZANIE”

Przeprowadzona analiza nie pozwala mi wyciągnąć innego wniosku aniżeli taki, że skoro opowiadam się za ustrojem obywatelskim jako jedynym, który godny jest mego zaakceptowania – wszystkie zaś inne, od niego odstające, siłą rzeczy uznaję za mniej czy bardziej „parszywe”, to znaczy „dyktatorskie” bądź „autorytarne” (niezależnie od tego, czy są one prawicowej, czy lewicowej proveniencji) – to nie mogę pozytywnie ocenić ustawy lustracyjnej, co w konsekwencji oznacza również, że nie powinienem przyłożyć swej ręki do ustanowienia zaprowadzanego mocą tej ustawy ustroju. Muszę przy tej okazji jednak wyznać, że gdyby przewidzianą w tej ustawie sankcją było na przykład łamanie kołem, a nie jedynie zakaz funkcjonowania w sferze publicznej, w tym w nauce, albo też gdybym miał dopiero przed sobą swoją karierę zawodową, a widoków na zmianę parszywego ustroju nie byłoby żadnych, to być może – w niczym naturalnie nie zmieniając swej oceny zaprowadzanego ustroju – uległbym nałożonemu przymusowi i złożył wniosek o wystawienie mi świadectwa moralności. [...]

Mimo jasności, jaką w mym umyśle uzyskałem w kwestii ustawy lustracyjnej, nie przestałem jednak zastanawiać się nad adresowanymi, jak rozumiem również do mnie, słowami, wedle których w moim umyśle zapanowało „aksjologiczne zamieszanie”. Jest to bowiem rzecz niewątpliwie wymagająca wyjaśnienia. Zanim jednak zastanowię się nad moim „aksjologicznym zamieszanym”, pierwiej przyjrzyć się będę chciał właściwościom proponowanego mi sposobu myślenia, które wyrasta, jak należy mniemać, z „aksjologicznego ładu”, a które to myślenie omal mnie nie zawiodło do

zaakceptowania tego, czego żądała ode mnie ustawa lustracyjna. Na przeszkodzie stanęły jednak owe przychodzące na myśl niemiłe skojarzenia z różnymi ustrojami nie zasługującymi na moją rzeczywistą akceptację.

Zacznijmy od pytania: co właściwie jest tak charakterystyczne dla tego sugerowanego mi sposobu myślenia, mającego uwolnić mnie od wcześniej i nasuwających się obiekcji i wątpliwości? Czym się owo myślenie odznacza i charakteryzuje? Dwie cechy są tu chyba najistotniejsze. Po pierwsze to, że proponowane mi myślenie jest w dużym stopniu myśleniem egocentrycznym czy egoistycznym; każe się tu bowiem tym, którzy mają do wypełnienia jedynie rubrykę „nie współpracowałem” patrzeć na nałożony ustawą przymus tylko z własnej, egoistycznej perspektywy, mianowicie z punktu widzenia pytania, czy mej godności (w czymkolwiek) może uchylać wypełnienie rubryki „nie współpracowałem”. To ewidentne zawężenie perspektywy, z której każdy, w tym również ten, który ma do wypełnienia tę jedną tylko rubrykę, powinien (wedle obrońców ustawy) patrzeć na tę ustawę. Można zatem stwierdzić, że wymagany w tym wypadku od naukowca całkowity (jego) egoizm, jest czymś, co oczywiście w pełni rozmija się z etosem człowieka nauki i inteligenta. Dlatego też, żeby usunąć ten ewentualny dysonans, ów wymagany egoizm przesłonięty zostaje w oferowanej strategii argumentacyjnej niebywałą rekompensatą – i to dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, wypełniającemu rubrykę „nie współpracowałem” dane zostaje przez władzę, z mocy ustawy, upoważnienie do tego (uczynione nawet wręcz jego powinnością), by wypełniwszy rubrykę „nie współpracowałem” poczuł się moralnie lepszym, poczuł się częścią tych „lepszych”, poczuł swą wyższość nad tymi, którym twórca ustawy nie pozostawił innej możliwości, jak tylko zakwalifikować siebie – niezależnie od wszelkich faktycznych okoliczności, niezależnie od całej, często bogatej i skomplikowanej biografii i niezależnie od swoich różnych zasług – jako należących do ludzi drugiej kategorii, do tych gorszych, do tych, którzy „współpracowali” ze „służbami”, czyli przyczyniali się do „łamania praw człowieka na rzecz komunistycznego ustroju”. Wypełniający rubrykę „nie współpracowałem” ma prawo wyartykułować „wszem i wobec” tę „nobilitującą” go prawdę i to w sposób, który powinien być dla innych wiarogodny, gdyż przecież nie plółtby bzdur i nie mijał się z prawdą, kiedy grozi mu za to przynajmniej dziesięcioletnia banicja. Dodatkowa rekompensata, pozwalająca przesłonić egoizm proponowanego rozumowania, a także usunąć pewien dyskomfort, jaki mogliby odczuwać ci, którzy nie mają akurat aż tak ogromnej potrzeby wywyższania się nad innych, to rekompensata w postaci świadomości uczestniczenia w urzeczywistnianiu pewnego dobra, jakim jest tak potrzebne wszystkim, w tym studentom i środowiskom naukowym, odsłonięcie prawdy. Owo dobro, w którego urzeczywistnianiu ma się uczestniczyć (popierając obecną ustawę i składając z pełnym wewnętrznym zapalem oświadczenie „nie współpracowałem”), zasłonić ma wszystkie ewentualne „ułomności” tego instrumentu „oczyszczania” rzeczywistości.

W tym kontekście trzeba zastanowić się, w czym odbiega od myślenia oferowanego mi przez obrońców lustracji w jej obecnym kształcie moje myślenie moralne, które zapewne nie jest jedynie moim myśleniem, bo takiemu to właśnie, bądź prawdopodobnie bardzo zbliżonemu sposobowi myślenia i reagowania, dało wyraz znaczne grono osób. Śmiem twierdzić, że w jakimś stopniu podobnie myśleli i myślą wszyscy ci, którzy, mając do wypełnienia jedynie rubrykę „nie współpracowałem”, odmawiają złożenia wymaganego od nich oświadczenia. Przypuszczam, że, w jakimś stopniu przynajmniej, podobnie do mnie myśleli i myślą ci, którzy pierwsi wyartykułowali swój sprzeciw np.: pani Ewa Milewicz, Piotr Najsztub, Jacek Żakowski, pracownicy Instytutu Badań Literackich PAN, znaczny i znaczący krąg przedstawicieli świata akademickiego, a także najznamienitsi przedstawiciele polskiej inteligencji i zarazem świata polityki, o których odmowie dowiedzieliśmy się ostatnimi czasy, czyli Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Oczywiście nie mogę z pełną odpowiedzialnością twierdzić, że moje myślenie, podpowiadające mi, że powinnością człowieka przyzwoitego jest odmowa udziału w budowaniu ustroju zaprowadzanego obecną ustawą lustracyjną, całkowicie pokrywa się z myśleniem innych osób, które odmową zareagowały na przymus nałożony obecną ustawą lustracyjną. Dlatego mogę mówić tu tylko w swoim imieniu.

Pierwsza rozbieżność między moim myśleniem a sposobem myślenia proponowanym mi przez tych, którzy chcą mnie przekonać do złożenia oświadczenia, polega na tym, że oni chcą bym na swoją godność patrzył tylko przez pryzmat tego, czego niegdyś nie zrobiłem, czyli przez pryzmat tego, że z tajnymi służbami nie współpracowałem, moja świadomość moralna każe mi natomiast patrzeć na mą godność również przez pryzmat tego, co zrobię w tej chwili akceptując (poprzez akt złożenia oświadczenia) ustawę wprowadzającą usankcjonowaną przez państwo moralno-godnościową segregację.

Druga różnica między moim myśleniem moralnym, wyrastającym zapewne z zarzucanego mi i mi podobnym „aksjologicznego zamieszania”, a myśleniem tych, w których umysłach panuje „aksjologiczny ład”, to różnica w sposobie operowania moralnymi kwalifikacjami typu: „złe” czy też „naganne” oraz „dobre” tudzież „chwalebne”. Nie nauczono mnie bowiem, za co odpowiedzialność ponoszą moi Rodzice, posiadanej przez tych, w których umysłach panuje „ład aksjologiczny”, „umiejętności” moralnego napiętnowania całych zbiorowości, jak też umiejętności napiętnowania za „bycie kimś tam”. Być może długie historyczne doświadczenie moich Rodziców – wywózka w czasie I wojny światowej z ziem polskich do Rosji carskiej, dziecięce i młodzieńcze doświadczenie rewolucji w Rosji, tułaczki i powrotu do Polski, następnie okupacja niemiecka i wreszcie trud istnienia w czasach stalinowskich – sprawiły, że wykształcili w sobie przede wszystkim zdolność widzenia zawsze tylko konkretnych ludzi, których ocenia się podług ich czynów i zachowań, nie zaś widzenia ich przez pryzmat ich przynależności narodowej, przynależności wyznaniowej, nawet nie przez pryzmat uniformu, przynależności partyjnej czy

pozycji w hierarchii władzy. Obok oceny „cząstkowej”, wydawanej na podstawie takiego, a nie innego konkretnego czynu czy zachowania, Rodzice mieli też zdolność oceniania w całości danej osoby. Wówczas z kolei brana była pod uwagę całość dokonań i zachowań danej osoby, przez co jeden czyn, choćby i wątpliwy moralnie, a nawet naganny, nie musiał być znacznikiem całej biografii, nie mógł przesłonić tego, co w czyjejs biografii godne i chwalebne. Wychowany na takich wzorcach myślenia nie jestem w stanie zaakceptować jakichkolwiek dekretów wydawanych w sprawach natury moralnej, które na dodatek pozwalają sprowadzić biografię człowieka zasłużonego dla demokratycznej opozycji do wielokrotnie naprawionego i odpokutowanego błędu młodości, jakim było na przykład zobowiązanie się do współpracy. Nie dość, że czymś fundamentalnie niezgodnym ze standardami ustroju obywatelskiego, to nadto obrzydliwą niegodziwością w stosunku do ludzi szczególnie zasłużonych dla Polski i jej demokratycznych przemian, jest podjęta przez dzierżących władzę próba zmuszenia również ich – a może w szczególności ich? – do tego, by także zwrócili się do dzierżących władzę z prośbą o wystawienie im „świadectwa moralności”.

W świetle wyniesionego przeze mnie z mego rodzinnego domu takiego, a nie innego sposobu moralnego myślenia zrozumieć się daje też, niezrozumiały dla piewców składania oświadczeń lustracyjnych, fakt, że przymus złożenia oświadczenia, czyli wystąpienia do państwa z prośbą o wystawienie świadectwa moralności, może być (i to całkiem zasadnie) odbierany jako przymus godzący w ludzką godność. Oczywiście, jeśli myślenie kroczyć będzie torami proponowanymi przez rzeczników obecnej ustawy, to żadną miarą tego nie da się zrozumieć. Potrzebny jest do tego określony sposób odbierania świata i reagowania na mające w nim miejsce zaszłości, czyli określony etos. Co jest znamienne dla etosu tak właśnie reagującego na obecną ustawę lustracyjną? Przede wszystkim to, że na żądanie wysunięte przez państwo wobec całej niemal inteligencji (w tym wobec zasłużonych działaczy opozycji) nie patrzy się przez pryzmat pytania: a co ja będę miał z tego złożenia oświadczenia i czy nie jest to akurat dobra okazja, by móc wreszcie zmanifestować swą wyższość moralną nad tymi, którzy nie mogą wpisać „nie współpracowałem”? Dla kogoś tak tylko myślącego złożenie oświadczenia wymaganego obecną ustawą nie będzie zamachem na godność. Dla kogoś jednak, kto nie zamierza wrzucać do jednego worka tych, którzy donosili, z tymi, na których donoszono, tych, którzy świadomie współpracowali, z tymi, którzy byli traktowani jako źródła informacji, jak też dla kogoś, kto obowiązującą ustawę postrzega jako podłość wyrządzaną ludziom zasłużonym dla demokratycznej opozycji, wypełnienie rubryki „nie współpracowałem” będzie ciosem we własną godność. Ale nie dlatego, że mam się czego wstydić, wypełniając tę jedną rubrykę; godność moja zostaje wystawiona na szwank przez to, że podporządkowując się przymusowi, godzę się na tę próbę ponizenia ludzi godnych i zasłużonych.

Rozważając źródła tego mojego moralnego myślenia, wskazuję na dom rodzinny. Szczególnym rysem tego wyniesionego z domu moralnego myślenia był też bardzo silny demokratyzm, moralny egalitaryzm, to znaczy dezakceptacja dla wszelkiego wywyższania się ponad innych. To, być może, stworzyło podłoże dla określonego sposobu myślenia o jedynym godnym rzeczywiście akceptacji ustroju politycznym, to znaczy po Kantowsku rozumianej republice jako zespoleniu wolnych i równych. Niezdolność do myślenia w takich kategoriach jest równoznaczna z popadnięciem w jedną z dwu równie patologicznych (a dopełniających się) postaw: postawy, jaką przyjmuje osobnik, który nie może się nie wywyższać oraz postawy, jaką przyjmuje ten, który gotów jest bez szemrania i bez namysłu podporządkowywać się cudzemu prawodawstwu. Jeśli formuła użyta przez księdza Tischnera: „homo sovieticus” coś miałyby dla mnie znaczyć, to kryłby się za nią właśnie tego rodzaju charakter, który albo musi się ponad drugiego wywyższać (żeby też móc go poniżyć), albo musi się temu, który jest ponad nim, wiernopoddańczo podporządkować. Patronem obecnej „ustawy o ujawnianiu” nie jest „obywatel rzeczypospolitej” jako „wolny i równy pośród jemu podobnych”, lecz „homo sovieticus” – to z tego ducha ona wyrasta. Gdyby wyrastała z ducha obywatelskiego, to wówczas zawierałaby ona jeden artykuł, który albo by brzmiał: „zamyka się akta na lat 50”, albo też: „akta zostają w zasadzie natychmiast udostępnione społeczeństwu (z zachowaniem uzasadnionych ograniczeń)”.

Dwa źródła podstawowe mego myślenia moralnego i myślenia o państwie oraz sprawach publicznych, to z jednej strony dom rodzinny, z drugiej zaś Kant i jego filozofia państwa, która stanowi fundament nowoczesnych ustrojów państwowych. To właśnie owym źródłom mego moralno-politycznego myślenia (w tym również kontynuującej tradycję kantowską filozofii politycznej Jurgena Habermasa) zawdzięczam opisywane „aksjologiczne zamieszanie”. Mimo mających mi przez to grozić niemiłych konsekwencji, pozostanę jednak z tym moim „aksjologicznym zamieszaniami”, wyżej je sobie bowiem cenię niżli proponowany mi „aksjologiczny ład”.

Łódź–Kołobrzeg 15 kwiecień – 06 maj 2007

AN „AXIOLOGICAL CONFUSION”?

The text is a reflection on the lustration law of 2007, which imposed an obligation of submitting lustration statements on people whose professions involved significant public responsibility. Academic professors, along with journalists, or lawyers were subject to this obligation. The article, which was in the most part written in the course of these events in 2007, is a document of moral dilemmas brought by the lustration law. By posing the general question “What should I do” in the face of such state-imposed obligation, it considers a series of opposite arguments concerning the validity of this law and the reasons to submit to it, or to reject it in an act of civil disobedience.

Keywords: lustration, state of law, responsibility, ideological segregation, civil disobedience